



NEW YORK TIMES

BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ

Dogonić
rozwiane
marzenia

Elizabeth Flock

Elizabeth Flock

Dogonić
rozwiązane
marzenia

Przełożyła:
Małgorzata Borkowska



Tytuł oryginału:
Sleepwalking in Daylight

Pierwsze wydanie:
MIRA, 2009

Redaktor serii:
Grażyna Ordega

Opracowanie graficzne okładki:
Robert Dąbrowski

Opracowanie redakcyjne:
Władysław Ordega

Korekta:
Małgorzata Narewska, Władysław Ordega

© 2009 by Elizabeth Flock
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin
Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2011

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji
części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane
w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych
– żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o.
00-975 Warszawa, ul. Starościańska 1B lokal 24-25

Skład i łamanie: COMPTeX[®], Warszawa

ISBN 978-83-238-8232-9

Samantha

Nie uprawialiśmy seksu od jedenastu miesięcy. Prawie cały rok. To dłużej niż trwa rozwój ludzkiego płodu. Pamiętam o tym z dwóch powodów: po pierwsze to była nasza rocznica ślubu, a w rocznicę ślubu seks to pewnik; po drugie następnego wieczoru miał miejsce incydent ze światłem. Czytałam książkę o rodzinie misjonarzy w Afryce. W kalendarzu notuję wszystko, co czytam, a w ogóle doskonale pamiętam, jak żałowałam, że to nasza rocznica ślubu, bo akurat dotarłam do bardzo ciekawego rozdziału. Tymczasem musiałam udawać, że nie widzę, jak Bob robi wszystko, czego jego zdaniem oczekuje się od mężów obchodzących rocznicę ślubu.

A więc następnego wieczoru byliśmy na piętrze w pokoju, który obok kuchni jest najważniejszym pomieszczeniem w domu. Bob siedział w rogu przy komputerze, szukając na eBayu rakiet tenisowych.

– Czemu po prostu nie pójdziesz do sklepu sportowego? – spytałam go wcześniej.

– Szukam starych drewnianych rakiet – odparł, nie podnosząc wzroku.

Wzruszyłam ramionami i ponownie zagłębiłam się w lekturze. Pamiętam uczucie zaskoczenia, gdy spojrzawszy wokół, uświadomiłam sobie, że nie znajduję się w Kongo w czasach wojny domowej, tylko w swoim ładnym dwupiętrowym domu w dzielnicy North Side w Chicago. Uwielbiam, gdy książka jest tak dobra, że zapominasz, kim jesteś i gdzie przebywasz.

Usłyszałam, jak Bob ciężko wzdycha i odsuwa się od dużego biurka zasłanego zadaniami domowymi dzieci, prośbami o zgodę na udział w wycieczkach, zawiadomieniami ze szkoły. Wychodząc z pokoju, zgasił światło. Dopiero gdy zawołałam za nim, wrócił i włączył je ponownie, mrużąc:

– O, przepraszam. Zapomniałem, że tu siedzisz.

Jednak najbardziej dotknęło mnie to, że wcale nie próbował mi nic udowodnić. On naprawdę zapomniał, że byłam razem z nim w pokoju. I to jest właśnie sedno sprawy. Od tamtej pory nie uprawialiśmy seksu.

Wiem, że ten incydent ze światłem wydaje się całkiem błahy, ale wszyscy znamy te momenty, gdy miarka się przebrała. Takiej chwili nie da się precyzyjnie określić, wiadomo jednak, że coś się zmieniło, że to ostatnia kropla. Od jakiegoś czasu każde z nas powoli pograżało się we własnym świecie, a ja to po prostu ignorowałam. Aż do tej pory. A teraz nie mogę już tego dłużej znosić.

A przecież dopiero w zeszłym tygodniu kupiłam maślankę do naleśników, które postanowiłam zrobić bez żadnego konkretnego powodu. Ot, taka niespodzianka. Uznałam, że chociaż raz mogę zdobyć się na jakiś wysiłek. Kupiłam maślankę, bo wiem, że Bob lubi, gdy naleśniki są treściwsze. Kiedyś mówił o nich „bajeranckie naleśniki” tonem, który sugerował, że dziękuje mi za pokonanie dodatkowej drogi, gdy takiego wysiłku wyma-

gało kupienie czegoś w rodzaju maślanki. Jednakże w zeszłym tygodniu w ogóle nie zauważył, że na śniadanie jemy coś innego niż płatki z zimnym mlekiem, a gdy ostrożnie zsuwałam na talerz stos naleśników, machnął niecierpliwie ręką, mówiąc:

– Mnie nie dawaj. Na Irving Park są roboty drogowe, więc musimy już ruszać. Chodźcie, dzieciaki.

Nasi ośmioletni synowie, Jamie i Andrew, jeszcze z pełnymi buziami chwycili nagolenniki i korki. Tak bardzo różnią się wyglądem i charakterem, że czasem zastanawiam się, czy faktycznie są bliźniakami. Jamie porusza się powoli i z rozważą, jakby musiał przemyśleć każdy krok. Przed śniadaniem porządnie ułożył sprzęt piłkarski przy drzwiach wyjściowych. Obok postawił też dwie butelki wody. Pamiętał, żeby wziąć dwie, bo Andrew zawsze zapomina o zabraniu swojej. Jamie ma nos pokryty piegami i tak mlecznobiałą skórę, że widać przez nią niebieskie żyły. Mam wrażenie, że ze swoimi delikatnymi rysami wyrośnie na przystojnego mężczyznę. Jest mały jak na ośmiolatka i wiele osób sądzi, że ma rok mniej od brata. Andrew jest masywny i przysadzisty, a jego gęste rude włosy zawadiacko sterczą nad czołem. Jest dokładnie taki, jak zwykle wyobrażamy sobie ośmioletniego chłopca: niechlujny, rozczochrany, czupurny. Kiedy się przewróci i rozetnie wargę, spluwa krwią i gna dalej. Ma kłopoty z koncentracją, ale testy nie wykazały ADHD. Kiedy pojawiają się problemy, Jamie sprawia wrażenie skrzywdzonego, natomiast Andrew odchyła głowę do tyłu, wywraca oczami i wzdycha, słuchając bezsensownych uwag rodziców. Do Andrew nic nie trafia. Do Jamiego trafia wszystko.

– Wiesz, które to boisko? – pytam Boba.

– Wiem – odpowiada niecierpliwie, lecz zatrzymuje

się na ułamek sekundy, wahając się, czy nie powinien jednak sprawdzić.

– Tylko pytam. Zmienili je w tym sezonie i jeszcze tam nie byłeś. Chłopcy, wiecie, jak tam dojechać, prawda? Z parkingu w prawo i w górę, pamiętacie? Pokażcie tacie drogę, dobrze?

– Pa, mamó! – woła Andrew.

– Zawiaż buty. Bob, każ mu zawiązać buty, zanim wysiądzie z samochodu, bo się potknie.

– Tak, jasne, zawiąż buty – mówi Bob. – Chodźmy, chłopcy.

Pilkę ma przyciśniętą do żeber, więc gdy upuszcza kluczyki, schyla się po nie jak ciężarna kobieta, starając się przy tym nie przekrzywić plastikowej tacki z pączkami, które kupiłam im na czas przerwy w treningu.

– Nie zapomnij po drodze odebrać rzeczy z pralni – mówię. – Słuchaj... zjesz na obiad stek? Jadę do sklepu.

– Dobrze, wszystko mi jedno. Jamie, rusz się – ponagla syna, stojąc przy garażu.

Drzwi z tyłu domu otwierają się na kamienną dróżkę, którą ułożyliśmy z Bobem, gdy dwadzieścia lat temu sprowadziliśmy się tutaj. Splukaliśmy się doszczętnie, lecz byliśmy szczęśliwi, że zamieszkaliśmy w tak obiecującym sąsiedztwie. Wynieśliśmy na zewnątrz radio i włączyliśmy jedyną stację, którą udało się złapać. Grali jazz. Zabrakło mi pary gdzieś w połowie pracy, która miała nam zająć jeden dzień, a rozciągnęła się na ponad dwa weekendy, bo kostki, które wybraliśmy, nie pasowały do siebie. Odbywaliśmy niezliczone wędrówki do centrum ogrodniczo-budowlanego i z powrotem. W drugą niedzielę leżałam w słońcu na trawie, słuchając Milesa Davisa i Boba, który najpierw pogwizdywał, a potem kłął. Pamiętam, że z dziecięcą fascynacją obserwowałam

chmury i uśmiechałam się jak ktoś bardzo zadowolony z życia. Cóż, mieliśmy piękny dom, wiał lekki wietrzyk, ja leżałam na terenie, który do nas należał, trzymając bose stopy na naszej trawie. Osłoniłam dłonią oczy i patrzyłam na Boba, jak w olbrzymim skupieniu przymierzał kostkę po kostce do płytkich dołków. T-shirt, który miał na sobie, był wtedy jeszcze całkiem nowy. Pochodził z koncertu zespołu Squeeze, który odbył się w kampusie college'u. Nasza druga albo trzecia randka. Drugi rok studiów. College w Bostonie, rok 1981.

Nie widziałam wtedy świata poza Bobem. Moim zdaniem był słodki, skoro nie chciał niczego przyspieszać. Mówił, że jestem inna, a jemu nie zależy na seksie, tylko na „przejściu całej drogi”. Dodawał też, że chce uniknąć tego wszystkiego, co mogłoby popsuć nasz związek. Więc się nie śpieszyliśmy. Chodziliśmy z sobą, ale nie doszło do niczego poważnego. Sypialiśmy ściśnięci na moim pojedynczym łóżku pod fińską kołdrą, otoczeni zapachem chińskich zupek i piwa. Żałowałam, że pocałunki Boba są takie niedbałe i wilgotne, ale z czasem to się poprawi, mówiłam sobie. Nie poprawiło się, jednak uznałam, że w życiu są ważniejsze sprawy.

Znajomi lubili nasze towarzystwo, bo nigdy nie rzucałiśmy się na siebie w porывach namiętności, więc osoby samotne nie czuły się przy nas gorsze tylko dlatego, że występowały solo. Dobrze się z nami spędzało czas. Na imprezach rozdzielaliśmy się, żeby pogadać to z tym, to z tamtym. Nie musieliśmy ciągle być razem. W gruncie rzeczy całkiem często zdarzało się, że nie widywaliśmy się nawet przez kilka dni, na przykład podczas sesji, choć każde z nas zawsze wiedziało, gdzie podziewa się drugie. Mieliśmy wiele wspólnego, a nasz związek nie kolidował z nauką. Pochodziliśmy z Chicago,

skończyliśmy prywatne licea, byliśmy jedynakami. Lynn, moja przyjaciółka, a także współlokatorka podczas studiów, zaprzyjaźniła się również z Bobem. Chodziliśmy na wspólne randki z nią i jej coraz to innymi chłopcami. Kiedy nie miała partnera, Bob umówił ją z Patelem, swoim bliskim kolegą. Niestety Lynn potrafiła być zenujaco nieprzyjemna, gdy kogoś nie polubiła, a akurat Patel zdecydowanie nie przypadł jej do gustu. Bob zarzekał się, że już nigdy jej nikogo nie przedstawi, lecz zrobił to, bo go ublażałam, i w końcu zaskoczyła na Michaela, za którego zresztą w rezultacie wyszła. Bob był ich drużbą, a ja pierwszą druhną, i wszystko układało się znakomicie, jak w bajce. My pobraliśmy się, kiedy Lynn i Michael wrócili z podróży poślubnej. Wyobrażałam sobie, że zamieszkamy po sąsiedzku, obie z Lynn zrezygnujemy z pracy i zajmiemy się wychowaniem dzieci. Myślałam, że będziemy z Bobem zasypiać wtuleni w siebie, jak to bywało w moim pokoju w akademiku, no i marzyłam o płotku z białych sztachetek.

Jednak gdzieś tam w środku zaczęły się pojawiać wątpliwości. Tak naprawdę niepokój ogarnął mnie już podczas miodowego miesiąca. Na Karaibach byliśmy bardzo szczęśliwi. Jeździliśmy na skuterach wodnych, lataliśmy na spadochronie holowanym za motorówką, razem z innymi nowożeńcami wypływaliśmy oglądać zachody słońca. Zauważyłam tylko, że zaczyna nam brakować tematów do rozmowy. Zupełnie jakbyśmy mieli rachunek bankowy z określonym zapasem zdań, a w miarę upływu czasu te nasze oszczędności zaczęły topnieć.

Pewnego popołudnia na plaży nagle się zachmurzyło. Zrobiło się ciemno, lunął deszcz. Nie zdążyliśmy uciec do samochodu, więc schowaliśmy się pod parasolem z re-

klamą Heinekena. Podczas tropikalnej ulewy parasol okazał się równie nieskuteczny, jak wówczas, gdy miał nas chronić przed rozżarzonym do białości słońcem.

– Zdenerwowało cię coś? – spytałam. – Tak nagle umilkłeś. – Gdy tylko wzruszył ramionami, a potem spojrzał w niebo, nie ustąpiłam: – Bob, o co chodzi? – Doczekałam się tylko ciszy w odpowiedzi. – Zmarzłam... Możesz wyjąć z torby zapasowy ręcznik?

Zrobił to całkiem mechanicznie. Ręka zgięła mu się w łokciu, zanurzyła w torbie, wyciągnęła ręcznik i wysunęła się w lewo w moją stronę.

– Nic, tylko... – zaczął z wzrokiem utkwionym w kłębiące się chmury. – Po prostu...

– Czekaj, co po prostu? O czym ty mówisz? Ogarnęła cię panika? Żałujesz, że wzięliśmy ślub? Chodź, okryj się ręcznikiem. – Przysunęłam się bliżej. – Nie jest ci zimno?

– Nie, jest dobrze. Nie przejmuj się.

– Ale co miało znaczyć to „po prostu”?

– Nieważne, rozumiesz? – W jego głosie było tyle zjadliwości, że się cofnęłam. Byłam młoda i pomyślałam, że wszystko się ułoży. Uznałam, że zwyczajnie wpadł w ponury nastrój.

Ostatniego wieczoru poszliśmy do baru na plaży. Zamówiliśmy mnóstwo piwa i kołysząc się do dźwięków gitary hawajskiej, patrzyliśmy na ocean. Bob z piwa przerzucił się na whisky. Wcześniej tylko raz widziałam, jak pije whisky, a zdarzyło się to podczas pożegnalnej imprezy na ostatnim roku studiów. Oglądaliśmy zachód słońca. Bob, pobrzękując kostkami lodu, wypił resztę alkoholu, po czym uniósł szklankę, sygnalizując kelnerowi, że chce następną kolejkę. Poszłam do łazienki, umyłam ręce, spojrzałam w lustro i mruknęłam do siebie:

– Chyba popełniłam wielki błąd.

Niestety nie miałam nikogo, z kim mogłabym o tym porozmawiać, a przecież bardzo się zaniepokoiłam. Martwiłam się i martwiłam, aż wpadłam w taką apatię, że po powrocie do domu jeszcze przez prawie dwa tygodnie odwoływałam spotkania z Lynn i Mikiem. Nie chciałam, by przyjaciółka zorientowała się w sytuacji.

Kamienna ścieżka nie jest prosta. Chcieliśmy, żeby wiała się w stronę garażu niczym miniaturowa żółta brukowana droga z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Uważaliśmy, że tak będzie ładniej. Teraz wszyscy wybieramy prostą drogę przez trawnik. Lynn i Mike kupili dom dwie ulice dalej w naszej pełnej drzew okolicy. Można tu odnieść wrażenie, że mieszka się na przedmieściu, choć od centrum Chicago dzieli nas zaledwie kilka minut. Jedno- i dwupiętrowe domy na naszej uliczce są do siebie bardzo podobne, mają małe kwadratowe trawniki, ganki od frontu, patia, tarasy i trawniki z tyłu. Garaże zaprojektowane na dwa samochody wychodzą na wąską alejkę. Trzeba użyć klaksonu i machnąć ręką do osoby, która uprzejmie poczeka, aż się wyjedzie. Wszyscy mają grille z długimi łopatkami i szczypcami, ceglane kominy, ozdobne wianki w zimie, amerykańskie flagi w lecie. W każdym tygodniu można się spodziewać trzech lub czterech wizyt skautów, którzy próbują sprzedać papier do pakowania lub prenumeratę jakiegoś czasopisma, rozczochranych dzieciaków z college’u, które chciałyby ocalić planetę, jakiegoś miejscowego gościa, któremu źle się wiedzie, więc chodzi od domu do domu z marnymi grabiami i oferuje wysprzątanie trawnika. Zimą przychodzi odgarnać śnieg ze ścieżek i chodnika.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Mike’owi i Bobowi zaczęło ubywać włosów, a przybywać w obwodzie. Bob zaczął nosić okulary, a Mike soczewki kontaktowe. Pew-

nego dnia, gdy spojrzałam na męża, stwierdziłam, że wygląda staro. No, może nie tak staro, ale jednak... staro. Nie sposób było zobaczyć w nim chłopaka, za którego wyszłam. Natomiast i ja, i Lynn trzymałyśmy się w dobrej formie. Zapisaliśmy się do tej samej siłowni na naszej ulicy, gdzie wprowadzono zajęcia z aerobiku, który właśnie zaczynał zdobywać popularność. Włosy obcięłyśmy, jak miliony innych Amerykanek, na wzór Jennifer Aniston. Potem je zapuściłyśmy i wyprostowałyśmy. Jak to zrobiły miliony Amerykanek.

– Pa, mamó. – Jamie odwraca się, żeby mnie objąć, zanim pogna za Andrew i Bobem na trening. – Dzięki za naleśniki.

Kiedy drzwi się zatraskują, wylewam resztę ciasta do zlewu i puszczam wodę, żeby wszystko spłynęło. Cammy przywlekleła się do kuchni. Trze oczy, rozmazując resztki makijażu, którego przed snem nigdy nie zmywa. Trzaskają otwierane i zamykane drzwiczki szafek. Brzęczą słoiki i butelki na drzwiach lodówki, które popycha stopą. W jednej ręce trzyma mleko, w drugiej miskę z płatkami.

– Pachnie naleśnikami. – Wsuwa się na wysoki stółek, pochyla nad płatkami i wiosłuje łyżką, patrząc na rysunkowe zagadki na pudełku, które przekręca, żeby odczytać wypisane na dnie odpowiedzi.

Cammy najpiękniej wygląda rano, kiedy jest jeszcze zaspana. Latem oliwkowa cera nabiera ciemniejszego, bardziej południowego odcienia. Ach, ta jej cera, po prostu bez skazy. Cammy jest filigranowa, ma cieniutkie nadgarstki i długą szyję, wydatne wargi, duże piwne oczy. Naturalny kolor jej włosów – teraz są ufarbowane – to głęboki brąz, jak pieczone w karmelu jabłko. Gęste, świetnie się układają. Nosila je z grzywką, którą przystrzygała, żeby nie wpadała do oczu, tak jak się to dzieje

teraz. Nie wygląda na szesnaście lat, przynajmniej dopóki nie nałoży make-upu, który przypomina farbę do malowania twarzy. Cechy nastolatki stają się bardziej widoczne, kiedy się ubierze. Te czarne ciuchy wyglądają jak kostium na Halloween.

Kończy płatki, a kiedy podnosi się ze stolka, omal się nie przewraca. Wygląda, jakby składała się z samych kończyn. Ma patykowate nogi o wystających kolanach, jest płaska, a kiedy stoi, nie wie, co ma począć z rękami. Rzęsy ma podkreślone, a zęby proste bez pomocy aparatu ortodontycznego. Teraz przechodzi okres buntu i próbuje zniszczyć wszystko, co jest w niej atrakcyjne. Kurczy się, gdy sądzi, że ktoś na nią patrzy, ogarnia ją przerażenie, kiedy słyszy coś w tym stylu:

– No nie, Cammy Friedman? Nie do wiary. Nie widziałam cię od czasu, gdy byłaś taka malutka. Proszę, proszę.

W dzieciństwie Cammy lubiła się tulić, jak teraz robi to Jamie. Kiedy była małą dziewczynką, w Dniu Matki zwykle płakałam. Pewnego roku – nie pamiętam, ile lat miała – sądziłam, że Cammy jest z Bobem na dole i przygotowuje dla mnie śniadanie do łóżka, gdy nagle na ramieniu poczułam dłoń. Przełknęłam łzy i odwróciłam się, a wtedy objęła mnie rączkami i poklepała po plecach, powtarzając:

– Już dobrze, mamusiu.

A potem cichutko wyszła, żebym mogła wydumuchać nos i przywołać uśmiech na powitanie grudkowatych naleśników wnoszonych po schodach na koślawej wiklinowej tacy ozdobionej bukiecikiem podwiedniętych mleczu, kiwających się w słoiku po dzemie.

Dziesięć lat później Cammy wzdryga się na myśl o jakimkolwiek kontakcie. Kiedy już musi się do kogoś

przytulić, pochyla się do przodu tak, że tylko jej ramiona stykają się z drugą osobą. Resztę ciała trzyma daleko, jak najdalej. Boba to denerwuje, chociaż tak naprawdę ostatnio wciąż coś go denerwuje.

Patrzymy na wszystko zupełnie inaczej. To znaczy Bob i ja. Ja patrzę na oczy ludzi. Czasami, niezbyt często, ale jednak się zdarza, przypadkiem wychwytuję czyjeś spojrzenie i dostrzegam w nim jakąś głębię, coś na kształt porozumienia, jakbyśmy należeli do tej samej rasy psów. Zazwyczaj są to ludzie, którzy mają takie oczy jak ja, to znaczy szeroko rozstawione, okrągłe, ciemnobrązowe. Kiedy jestem zdenerwowana, ciemnieją jeszcze bardziej, całe upodobniają się barwą do źrenic.

Natomiast Bob widzi u ludzi wyłącznie stopy. Kiedy idzie ulicą, patrzy w dół. Najki. Klapki. Buty od Manola Blahnika. Imitacje z sieci Payless. W zimie buty Uggs i L.L.Bean. Kiedy ktoś idzie w butach sportowych, Bob śledzi każdy jego krok, zupełnie jakby patrzył na piękną kobietę. W rzeczywistości interesuje go siła, z jaką stawiana jest pięta. Cóż, ostatecznie studiował medycynę sportową. Kiedy objął stanowisko w firmie Nike, poszliśmy z Mikiem i Lynn na kolację, żeby to oblać. Przez jakiś czas pod koniec dnia z radością opowiadał mi o pracy nad udoskonaleniami, dzięki którym nowe pokolenie biegaczy odczuje fantastyczne zmiany na lepsze. Gdzieś w trakcie tego roku przestał się cieszyć, a zaczął pić. Nie za dużo, lecz wystarczająco, żeby alkohol uwypuklał jego cyniczne zachowanie.

Bob zajmuje się obuwem sportowym, bo tak to nazywają w branży, chociaż ja zwykle mówię ludziom, że projektuje tenisówki, choć wiem, że brzmi to całkiem inaczej. Zanim zaczął pracować w słynnym koncernie, nie miałam nawet pojęcia, że istnieje coś takiego jak

architektura buta. Oczywiście kiedyś czytałam o początkach Nike, o biegaczu, trenerze i gofrownicy, która posłużyła do odlania podeszwy, lecz poza tym byłam całkiem nieświadoma, czego trzeba, żeby stworzyć dobry sportowy but.

W świecie Boba stopy dzielą się na dwie kategorie: zdrowe i chore. Zdrowe to te, które w naturalny sposób starzeją się w równym stopniu od palców do pięty. Chore to wszystkie pozostałe, a dla Boba większość stóp jest chora.

– Kto mógł wpaść na pomysł, żeby klapki stały się tak powszechne? – spytał ogłupiałą towarzyszkę podczas szkolnej imprezy charytatywnej.

Albo:

– Ten facet nie zdaje sobie sprawy, że za dziesięć lat z powodu płaskostopia zostanie pacjentem pediatri – powiedział mi, gdy robiliśmy zakupy gwiazdkowe w Old Orchard Mall.

A także:

– W idealnym świecie zdelegalizowalibyśmy wysokie obcasy i wszyscy nosiliby obuwie ortopedyczne.

To powiedział do dyrektora szkoły po pełnej napięcia rozmowie, podczas której dowiedzieliśmy się, że Cammy znów dostała nagane i ma warunkową zgodę na pozostanie w szkole. Dyrektor, pan Black, wygląda, jakby przyszedł na świat w wyniku kleszczowego porodu. Nie znoszę go, głównie zresztą, jak sądzę, dlatego, że on nie znosi mnie. Ani mojej rodziny.

To były początki nauki Cammy. Przyszliśmy do dyrektora Blacka, żeby poprosić o przeniesienie jej do innej klasy, którą prowadziła mniej niecierpliwa nauczycielka. Nim skończyliśmy mówić, pan Black zaczął kręcić głową, po czym uniósł rękę i powiedział: